



MARCIN RADWAŃSKI

PASJA

PASJA

MARCIN RADWAŃSKI

© Copyright by Marcin Radwański & e-bookowo

Zdjęcie okładkowe: pixabay.com

Skład: Ilona Dobijańska

ISBN: 978-83-8166-115-7

Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2020

[Kup książkę](#)

Rozdział 1

Wczoraj na nocnej zmianie miałem ogromnego pecha. Przyszedłem do pracy jak zwykle kwadrans wcześniej, aby mieć czas na przebranie i przygotowanie maszyny. Byłem jednak trochę zmęczony i niewyspany, bo z samego rana odwiedził mnie kolega, z którym razem kończyliśmy szkołę zawodową. Wpadł zupełnie niezapowiedzianie i nie mogłem mu odmówić, nie było rady. Wyładowaliśmy w osiedlowej knajpie, która mieści się w blaszanym baraku. Zaczęło się od piwa, a skończyło na wódce. Bronilem się całymi siłami, bo wiedziałem, że muszę iść do pracy. Skończyliśmy więc gdzieś około siedemnastej. Resztę dnia przespałem na ciasnej wersalce, w której zapadały się już sprężyny.

W swoim zakładzie pracowałem od trzech miesięcy. Frezowałem tam piankę poliuretanową na trzy zmiany. Robota nie była trudna, ale za to dość monotonna. Płacili najniższą krajową, ale i tak cieszyłem się z tych pieniędzy. Wystarczało akurat na wynajęcie pokoju, trochę jedzenia i alkoholu. Nie miałem na razie innej perspektywy, co jednak wcale mnie mocno nie martwiło. Miałem plan, aby dostać stałą umowę o pracę, co wiązało się też z podwyżką. Po roku bądź dwóch wynająć kawalerkę, a może kupić też używany samochód.

Rozpocząłem pracę dokładnie o dwudziestej drugiej. Myślałem błędnie jednak gdzieś daleko. Wyobrażałem sobie siebie za pięć, dziesięć lat. Co będę wtedy robił? Gdzie będę mieszkał? Kogo kochał?

Przez to wszystko nie założyłem rękawic ochronnych i po kilku minutach poczułem na palcach krew, która spływała po mojej dłoni.

– O cholera! – krzyknąłem i odskoczyłem.

Po kilku sekundach przy moim stanowisku stanął kierownik zmiany. Wysoki, szczupły, wąsaty mężczyzna, którego nie lubiłem od samego początku.

– Nic się nie stało. Masz wszystkie paluchy. Idź opatrzyć sobie ranę – powiedział rozkazującym tonem.

Poszedłem na zaplecze i poszukałem apteczki. Zawiązałem ranę bandażem, ale krew sączyła się nadal, przebijając przez opatrunek. Zrobiło mi się słabo, byłem oszołomiony. Usiadłem na jednym z krzeseł i przymknąłem oczy.

– Chyba nie będziesz tak siedział przez całą zmianę? – dobiegł mnie karcący ton mojego zwierzchnika.

– Jedną rękę masz sprawną, więc pomożesz Józkowi, a po zmianie pojedziesz na pogotowie. Tam zszyją ci porządnie rękę. Masz pecha. Nie wiem, co będzie z twoją umową – mówił ze złością.

Miałem tego wszystkiego dość. Nie mogłem jednak się poddać. Zgodnie z tym, co powiedział, poszedłem na drugą halę i do szóstej rano pomagałem przewozić piankę ze stanowiska na stanowisko. Dopiero gdy skończyłem pracę, pojechałem autobusem na pogotowie. Tam założyli mi kilka szwów i dali zwolnienie lekarskie.

Wróciłem do swojego pokoju zupełnie zdruzgotany. Zdawałem sobie sprawę, że właśnie zawałem sprawę przedłużenia umowy. Nie mogłem pracować, choćbym chciał, a takich pracowników wyrzucano na margines. Bałem się tego, co nastąpi.

Kolejnego dnia pojechałem do firmy. Znalazłem biuro kadrowej i wszedłem tam na miękkich nogach. Położyłem druk zwolnienia na biurku. Kobieta wzięła je do ręki i spojrzała ze zdumieniem.

– Trzy tygodnie? To chyba już panu podziękujemy – oznajmiła.

Skurczyłem się w sobie. Zrobiłem się miniaturowy. Nie dosięgałem nawet blatu biurka. Tak mocno zależało mi na tej pracy...

– To nie moja wina – mruknąłem lękliwie.

Kadrowa zlustrowała mnie zimnym wzrokiem od stóp do głów. Wydymała usta i przez moment wyglądała jak wigilijny karp.

– Takie mamy zasady. Na pana miejsce mamy kilku chętnych. Trzeba było bardziej uważać – oznajmiła i zaczęła coś pisać.

Wiedziałem, że to koniec rozmowy. Odwróciłem się w stronę drzwi i wyszedłem bez słowa. Opuściłem teren zakładu i od razu wyciągnąłem papierosy. W myślach liczyłem już tylko dni, za które powinni mi zapłacić. Nie wiedziałem, czy zdołam przeżyć za tak niewielkie pieniądze. Sięgnąłem do kieszeni spodni i wyciągnąłem portfel, w którym było dwadzieścia złotych. Postanowiłem czegoś się napić.

Szedłem chodnikiem z zamiarem wstąpienia do najbliższego sklepu monopolowego. Po kilku minutach zobaczyłem jednak bezdomnego, który stał przy wejściu do biblioteki. Wyciągał właśnie resztki jedzenia z kosza na śmieci. Podeszedłem do niego. Dałem mu banknot, a sam skierowałem się do wejścia.

Pomimo tego że nie miałem wykształcenia, sporo w swoim życiu czytałem. Zawsze, gdy miałem trochę więcej czasu, sięgałem po jakąś lekturę. Powieści uspokajały mnie niczym bardzo skuteczne tabletki. W tej chwili miałem ochotę się wyciszyć.

Przypadkowo trafiłem na nieznany mi wcześniej tytuł „Martin Eden” Jacka Londona. Na dworze było dość ciepło, jak na zbliżającą się jesień, dlatego postanowiłem poszukać wolnej ławki, gdzie mógłbym zatopić się w lekturze.

Usiadłem w końcu przy niewielkim skwerze, który oddzielał mnie od przystanku autobusowego. Otworzyłem książkę i zacząłem czytać.

Ocknąłem się dopiero, gdy poczułem chłód na swoim ciele. Spojrzałem na zegarek zawieszony na moim nadgarstku. Zreflektowałem się, że minęły dobre dwie godziny. *O rety!* – krzyknąłem w duchu. *Ta powieść jest niesamowita!*